

Daria Bułatnikowa "Dom nad strumieniem"

Ebola

Za oknem płakały krzaki. Krople deszczu spływały z liścia na liść, po czym odrywały się i plaskały o ziemię. Wilgotne, pachnące cierpką roślinną zgnilizną powietrze kręciło w głowie. Zawinęłam się we frotowe prześcieradło i usiadłam na parapecie, by obserwować, jak osypują się biało-różowe kwiaty hortensji, a deszcz leniwie przyklepuje je do rozkiśnionej ziemi. Owłosiony pień palmy, wydawałoby się, napęczniał od wilgoci. Samotność, pełna i całkowita – cel bez celu, korzenne, zwrotnikowe aromaty i szum deszczu zlewającego się z szumem strumienia płynącego za zbudowaną z kamieni ścianą. Należałoby jeszcze tylko pójść do ogrodu, zebrać miskę opadniętych mirabelek i dodać ich słodycz do harmonii jeszcze jednego, bezcelowo spędzonego dnia.

„Nareszcie wolna!” – uśmiechnęłam się gorzko. Przesiąkłam, jak palma, ciepłym deszczem i samotnością, osiągnęłam zupełne rozmiękczenie.

Z zarośli dobiegł kobiecy krzyk, pośpieszne słowa, potem męski głos odpowiedział coś ostro, ze złością. I – szmer osypujących się kamieni. Do ostatniej intonacji znajome przewidzenie, fonogram minionego zdarzenia, odgłos czyjejs śmierci. Chociaż, dlaczego czyjejs? Kobieta miała na imię Anna. Anna Brusłowa, właścicielka tego domu. Nigdy nie widziałam jej fotografii i wyobrażałam ją sobie jako jasnowłosą i szarooką, z drobnymi loczkami, filigranową kobietę. Skręciła kark, spadając do strumienia – ciało znaleźli nazajutrz. Moja sąsiadka Róża lubiła opowiadać, jak – zbierając jeżyny na konfitury – zauważyła w dole coś jasnego i natychmiast się domyśliła, że zdarzyło się nieszczęście.

Potem była jeszcze Halina, ale tę zauważyli dopiero na trzeci dzień, w krzakach za drogą, i Róża była niepokieszona, że nie udało się popatrzeć na zabitą – handlowała na targu hurmą, bo rzecz działa się jesienią. Halina wcześniej mieszkała w domu po drugiej stronie ulicy, bliżej morza. Dlatego ta tutaj – na pewno Anna.

Chuchnęłam na szybę, przetarłam dłonią i postanowiłam nie wychodzić do ogrodu. Nie z powodu głosów, po prostu – lenistwo.

Kłaskając pazurami po podłodze, wszedł Derek, wygiął silne czarne ciało, przeciągnął się. „Pies w czasie deszczu powinien spać” – było wypisane na osowiałej mordzie. Westchnąwszy, runął na wełniany dywanik z huculskim deseniem i jeszcze raz przeciągnął się wszystkimi łapami. Zamknął oczy i donośnie wypuścił powietrze. Pies, piesek, jedyne, co przywiozłam tu z minionego życia. Pozostałe okazało się niepotrzebne.

Uciekając potajemnie z dawnego mieszkania i bojąc się zostawić najmniejszy ślad, miałam nadzieję, że nie znajdzie się powód do powrotu. Minimum rzeczy do bagażnika, Dereka na tylne siedzenie i – dokąd oczy poniosą, zlawszy się z ogólnym potokiem samochodów. Dokądkolwiek.

Potok przyniósł na południe, nad morze, do tłumów próżnujących ludzi. Miasto było dalej, wielkie osiedle kuracyjne też. Wybrzeże wiło się koralami, z nawlęczonymi na nie drogi kempingami i sanatoriami. Koła „dziewiątki” nakręcały kilometr za kilometrem, a nieodgadniona sztuka, aparat zapłonowy, zepsuł się właśnie tu, w Gornym, jakby wyznaczając koniec drogi. Malutkie osiedle, między morzem i porośniętymi gęstym lasem górami, małe, niewygodne plaże, domy przycupnięte na zboczach, zapuszczony hotel, rynek, i kilka sklepów obok przystani. Wypoczywających niewiele, tylko tyłu, ilu przyjmą na kwatery; pozostali jadą dalej.

Udało mi się wynająć lichą chałupkę ze sklejki od chudej, opalonej do granic możliwości Mopsy. To

takie imię. Były dwa plusy - warsztat samochodowy po sąsiedzku, gdzie w ciągu dziesięciu minut wymieniono diabelski aparat zapłonowy, i miłość Mopsy do psów. Inni nie przyjęliby lokatorki z rottweilerem. Ludzi gospodyni po prostu nie cierpiała, widocznie miała ku temu jakieś powody. Za to pies, uśmiechający się całą swoją ogromną zębatą paszczą, wzruszył Mopsę. Widząc, jak siedząca na taborecie starucha brązowymi rękoma o artretycznych stawach drapie brzuch rozwalonego przed nią Dereka, postanowiłam zostać tu.

W chałupce przeżyłam miesiąc. Błąkałam się po zboczach, zrywając niedojrzały dereń, siadywałam na kamieniach przy brzegu, starannie unikając snujących się w poszukiwaniach damskiego towarzystwa samotnych mężczyzn. Nocą, słuchając szurania gałęzi po niskim dachu, zamawiałam sny, w których nie byłoby Pawła. Raz na zawsze zabroniłam im wpuszczania go.

Parę razy dzwoniłam do matki, powiadamiając, że wszystko w porządku: jest morze, są palmy. I znów nie zostawiałam śladów - mama może nie wytrzymać i komukolwiek powiedzieć, gdzie jestem. Lepiej dmuchać na zimne. Zerwać z przeszłością łatwo: wyjechać, zmienić numer komórki, nauczyć się żyć dniem dzisiejszym, odsunąć wspomnienia na dalszy plan. W każdym razie - nie rozpamiętywać szczegółów.

Potem poznałam Andrzeja i Emmę. Piękna, inteligentna para: on - wolny malarz, bard i poeta, ona - nauczycielka. Ale początkowo zwróciłam uwagę na ich dom.

Krańcowa ulica osiedla biegła wzdłuż zbocza góry i oddzielona była od niego głębokim łożyskiem strumienia tak, że działki znajdowały się tylko z jednej strony i terasami schodziły w dół, a za nimi było widoczne morze i wrzynający się w nie pirs. Ktoś wpadł na pomysł, by ten dom wybudować na styku zbocza, które jeszcze podebrano, oczyszczając miejsce na niewielki ogród. Wydobyte z góry kamienie zużytkowano na ściany i ogrodzenie. Od drogi do domu - przez łożysko strumienia - był przerzucony mostek, podobny do miniaturowego mostu wiszącego: stalowe liny i drewniane pokrycie.

Widząc to cudo po raz pierwszy, nie wytrzymałam i podeszłam bliżej; ostrożnie postawiłam stopę, czując, jak deski wyraźnie się kołyszą pod nogami. Niewielki, przejrzysty strumień szemrał około ośmiu metrów pode mną i trudno było sobie wyobrazić, że wiosną przekształca się w mętny i niebezpieczny potok. Naturalnie za drewnianą furtkę po drugiej stronie mostku postanowiłam nie wchodzić. Po prostu przyjrzałam się z zaciekawieniem niezwykłemu domowi - stare kamienne ściany, płaski dach i okna z wieloma szczelinami. Z jednej strony była przybudowana weranda, opleciona winogronami.

Nie zaprzeczam... to odosobnione i ciche miejsce pasowałoby mi idealnie. Ale było zajęte. Jedno z okien otworzyło się i opalona brunetka pomachała mi ręką.

Żeby usprawiedliwić swoją niewłaściwą ciekawość, zapytałam:

- Nie wynajmujecie pokoi?

- Nie - uśmiechnęła się - po prostu sami tu mieszkamy.

- Szkoda - westchnęłam. Miałam odczucie, że ten dom jest zbudowany właśnie dla mnie. Gospodyni, jakby czytając moje myśli, zaprosiła:

- Wejdz, proszę, mąż zaraz wróci i napijemy się herbatki.

Najprawdopodobniej nudziło jej się i po prostu chciała porozmawiać. Ale, tak czy owak, poznaliśmy się i od czasu do czasu zaczęłam odwiedzać Emmę. Jej mąż, Andrzej, wysoki, przystojny, około

czterdziestoletni mężczyzna, nie był człowiekiem towarzyskim. Kiedy czułam, że wywołuję jego rozdrażnienie, starałam się szybko pożegnać.

A potem odbyła się ta rozmowa. Emma zakomunikowała, że muszą opuścić Gorne na dwa albo trzy miesiące – mężowi zaproponowano interesującą pracę w Moskwie. I tu wykazałam się właściwą dla siebie bystrością, proponując jej dokonanie wymiany – do października zamieszkać w ich domu, a oni ulokują się w moim mieszkaniu.

- A twoja rodzina? – po raz pierwszy zainteresował się Andrzej.

- Mieszkanie stoi puste. – Wzruszyłam ramionami. – Nikt oprócz mnie tam nie mieszkał.

Nie mogłam przecież powiedzieć, że mój mąż, Paweł, zostawił mnie i uciekł niczym tchórz, nie zamieniając nawet słowa. Na początku kwietnia ze swoim przyjacielem Antonem pojechał do Karelii na spływ po jakiejś rzece. Przyjaciel wrócił sam. Okazało się, że mąż miał od dawna kochankę, która wyemigrowała do Szwecji, i uznał, że przy niej będzie mu lepiej. Zaplanował to zawczasu, tylko się nie zdradzał, bo czuł jednak swoje łajdactwo.

Sprawdziłam, jakie miał dokumenty – paszportem nie dysponował. Potem przyszedł list elektroniczny – suchy i krótki, w którym mąż zakomunikował, że już nie wróci. Mogę wystąpić o rozwód, on się nie sprzeciwia. Pieniądze i mieszkanie zostawia mi. Jakie pieniądze, jakie mieszkanie? Nie rozumiałam, nie rozumiałam niczego, a próbując zrozumieć, traciłam punkt oparcia.

Anton przychodził każdego dnia, dużo mówił, ale nie potrafiłam słuchać ani jego, ani mamy, tylko tępo patrzyłam w ekran stale włączonego telewizora i wracałam do życia, kiedy Derek zaczynał skomleć i łomotać pustą miską. Rozumiem, że mnie, ale jak Paweł mógł porzucić psa??? To pytanie męczyło mnie najbardziej. Piesku, pieseczku, dlaczego on porzucił ciebie? Przecież nikogo więcej nie miał, tylko mnie i Dereka... Okazało się – miał. Była ona.

I wtedy uciekłam – od pytań, na które nie było odpowiedzi, od bębniącego telewizora, od współczujących oczu mamy, od Antona, który nagle sobie przypomniał, że kiedyś uparcie mnie adorował. Właśnie wtedy mnie naprawdę olśniło... Zdecydowałam, że trzeba podjąć próbę powrotu do równowagi albo stracić rozum w innym miejscu. Dom nad strumieniem nadawał się do tego idealnie – dla obu wariantów.

Emma i Andrzej wyjechali po upływie trzech dni.

Pożegnałam się z Mopsą, obiecując, że będę ją odwiedzać razem z psem, i poprosiłam o pozwolenie na pozostawienie za jej szopą samochodu – trzymanie go na ulicy, przed mostkiem, było ryzykownie, a przeprowić na drugą stronę strumienia się nie da. Potem zadzwoniłam do mamy, uprzedzając, że w moim mieszkaniu zatrzymają się znajomi.

- Anton nie może sobie miejsca znaleźć, niepokoi się o ciebie – zakomunikowała matula. Ale mi było wszystko jedno, niech się niepokoi, jeśli uważa to za swój obowiązek. Słuchać, że moje życie na tym się nie kończy, też nie zamierzałam, przeczekałam po prostu, aż słuchawka ucichnie, i obiecałam obowiązkowo zastanowić się nad tym.

Na początku wałęsałam się po domu, przesiąkając odczuciem pełnego odcięcia od świata. Czasami chciałam obrębać stalowe liny mostku i tylko obecność psa powstrzymywała mnie od tego. Przecież nie ma w tym jego winy. Dlatego poniewierającą się przy drzwiach wejściowych siekierę odniosłam na werandę i postawiłam w kącie, za pleconym z łoża tapczanikiem. Odżywiałam się dojrzewającymi śliwkami i morelami, z rzadka kupowałam w nadbrzeżnym sklepie długie, miękkie bułki paryskie i wielkie worki paszy dla Dereka.

Potem rozpadały się deszcze. Pociemniałe morze przypominało starą cynową miskę, ciężkie niebo wisiało nad koronami drzew, związane z ziemią strumieniami wody. A w ogrodzie zabrzmiały głosy. Mogły to być rozmowy sąsiadów, echo odbite od zbocza albo wyjaśnienia wzajemnych oczekiwań zaglądającej w mokre krzaki pary. Ale dźwięki zawsze były do siebie podobne, a słów nie rozróżniałam, jak bym się nie starała. Pewnego razu, brnąc pod parasolem ze sklepu, spotkałam gadatliwą Różę i usłyszałam historię zabitych kobiet.

- Po co ty się ulokowałaś w tym przeklętym miejscu? - Wyłożywszy potworne szczegóły, wbiła we mnie wzrok przez okrągłe denka okularów. - Domyślam się, że Emmka była zaczarowana, ale ty? Nie boisz się?

- Nie. - Pokręciłam głową, czując dziwną ulgę. Już wiem, czyj głos słyszałam: Anny. Halina umarła zbyt daleko od domu, więc nie mogłam jej usłyszeć. - A dlaczego Emma zaczarowana?

- Bo nikt więcej nie mógł tu zamieszkać, ten dom trzy razy odsprzedawano, póki ona z mężem nie kupiła. Mówią: nieczysto tam. Wszyscy uciekali, nie mogli wytrzymać. A ci wcześniej przyjeżdżali rokrocznie, pokoje wynajmowali. Ostatecznie dom im się dostał za bezcen, bo innych nabywców nie było. I trzeci rok mieszkają. Dopiero teraz po raz pierwszy sublokatorkę wpuścili

Wzruszyłam ramionami. Wyjaśnić ciekawskiej emerytce, dlaczego nie mam powodu do obaw, nie chciało mi się.

Potem jeszcze nieraz cierpliwie wysłuchiwałam Róży, która prawdopodobnie ciągle wypatrywała mnie na drodze, by napędzić mi strachu. Historia zagłady Anny, oprócz skręconego karku, została ubarwiona potworną raną na głowie, a Haliny - tym, że zadarła z wariatem. Woskową twarz człowieka, którego w Gornym uważano za szaleńca, czasami widziałam za dawno niemytymi szybami okien narożnego domu. Mieszkał samotnie i tylko kuzynka odwiedzała biedaka, by przynieść mu jedzenie.

Musa, tak go nazywano, wydawał mi się nieszkodliwy i nieszczęśliwy. Mówili, że od trzydziestu lat nie wychodzi z domu - boi się. W dzieciństwie matka za coś go skarciła i nie pozwoliła wychodzić z domu przez trzy dni, a on nie posłuchał i wybiegł na podwórze, gdzie z drzewa rzucił się na niego ogromny, czarny ptak. Chłopak doznał takiego szoku, że od tego czasu przy próbie wyprowadzenia go za drzwi padał na ziemię i dostawał drgawek. Rodzice Musy dawno umarli, a on nadal mieszkał samotnie, nie opuszczając czterech ścian.

- Napadła go kawka, pewnie chciała dziobnąć agrafki, przypięte do oślinionego kaftanika - domyślała się Róża. - Jaki tam dla niej wstyd? Była rozwódką, rozpustnicą. Nie brzydziła się, że Musa żółty i straszny. Kiedy ją zabito, on tam, u siebie, miotał się jak w klatce, płakał. A mimo wszystko nie wyszedł. I milicja do niego przychodziła, ale zostawili go w spokoju i tyle. Czego można od niego wymagać - szalony.

Nie wiem dlaczego, ale słuchać historii nieszczęśliwej miłości Musy nie potrafiłam obojętnie. Odwracałam się i uciekałam do swego azylu za strumieniem, siedziałam na starej ławce, patrząc, jak Derek ugania się za ważkami, słuchałam, jak obsypują się morele i krzyczą w niebie mewy.

Wieczorami czytałam. Właziłam z nogami na wgnieciony fotel i dosłownie połykałam książkę za książką, nie pamiętając tytułów ani treści. Czasami tak i zasypiałam, zwinąwszy się w kłębek. Budziłam się dopiero o świcie, dlatego, że Derek zaczynał skomleć i skrobać drzwi, domagając się spaceru.

W domu był raptem jeden pokój, ale ogromny, z czterema oknami, symetrycznie rozmieszczonymi z dwóch stron. Na ślepej ścianie, zwróconej do zbocza, wisiały rysunki Andrzeja, wykonywane

węgłem i sangwiną. Z przeciwległej strony była wydzielona nieduża kuchnia i kabina prysznicowa. Toaleta – drewniana budka – znajdowała się w ogrodzie. Gazowa kuchenka, piecyk gazowy do prysznic, wodociąg i elektryczność. Więcej żadnych udogodnień w domu nie było, nawet telefonu. Nieraz, przytuliwszy się policzkiem do nierówno otynkowanej ściany, słuchałam cichych skarg domu na nietrwałość dachu, pęknięcia w murze, nieobecność normalnego pieca, z braku którego zimą trzeba było ratować się ogrzewaczem. Choć zima tu krótka i ciepła.

Nigdy nie włączałam radia, nie żałowałam, że nie ma telewizora albo najprostszego odtwarzacza. Ale za to nauczyłam się słyszeć miękkie ślizganie się grubych pasiastych ślimaków po gałęziach krzewów.

Okres deszczowy rozchwiało się – z rana mogło świecić słońce, a po obiedzie nadciągały płaczliwe chmury i znów brudne strumyki płynęły po ogrodowych ścieżkach, zabierając opadające z krzaków kwiaty. Pod wieczór deszcz zwykle ustawał i następował czas dusznych, mlecznobiałych mgieł, podnoszących się od ziemi do stopniowo ciemniejącego nieba. Zawilgocone meble, pęczniejące od wilgoci książki, pleśń na chlebie. Teraz czas odmierzał deszcz lub jego brak.

Miesiąc takiego życia zdecydowałam się jakoś uczcić, dlatego kupiłam na targu butelkę różowego ubiegłorocznego wina i piętę.

Od wina głosy stały się wyraźniejsze, ale słowa nadal były nierozróżnialne. Wytłumaczyłam sobie, że być może przyczyna tkwi we mgle, i wyszłam do ogrodu. Na próżno – usłyszałam tylko szmer osypującego się żwiru i miękki dźwięk upadku ciała na kamienie. Przechyliłam się przez mur, który otaczał strumień, ale na dole wszystko tonęło w białym kisielu. Na początku bałam się, że Derek może spaść z wysokości. Niepotrzebnie – pies nawet nie zbliżał się do ogrodzenia.

W głowie lekko mi się kręciło. Po drugiej stronie strumienia poryw wiatru wstrząsnął niewidoczną w ciemności magnolią i poleciały na mnie zimne krople. Wiatr znad morza rozdmuchiwał mgłę i studził moje płonące policzki. Odwróciłam się w stronę domu, do jego przytulnie świecących okien. Zasłonięte różnokolorowymi storami, wyglądały jak witraże.

Co to jeszcze mówiła Róża o zaczarowaniu Emmy?

To wszystko bzdury. Przypadkowe, niepodobne do siebie śmierci dwóch kobiet. A w ogóle, trzeba by zadzwonić do Moskwy, dowiedzieć się, jak sobie poradzili Andrzej z żoną. Przez cały miesiąc jakoś nie zdążyłam tego zrobić. Ale gdyby coś było nie tak, zadzwoniliby sami, dałam im numer komórki. Tylko że telefon dawno się rozładował. Choć... wcale mnie to nie martwiło. Jeśli jutro sobie przypomnę, naładuję.

We mgle głucho krzyknął ptak i zamilkł, jakby przestraszył się własnego głosu. Pora spać. Ciekawe, dlaczego Emma zgodziła się żyć w takim odosobnionym miejscu? Rozumiem siebie. Ale ona? Na pewno Róża ze dwadzieścia razy zdążyła opowiedzieć jej wszystko o morderstwach.

A przecież, jeśli przyjeżdżała tu od kilku lat z Andrzejem, to zupełnie możliwe, że nie dowiedziała się o tym od sąsiadek, tylko mogła być w tłumie gapiów, zbiegających się, by obejrzeć cudzą śmierć.

Dziwne myśli zaprzętały głowę. Opędziwszy się od nich, wróciłam do domu i znowu usłyszałam w ogrodzie kobiecy krzyk. A może mi się zdawało? Ponieważ intonacja była inna, wyglądało na to, że Anna chciała coś przekazać tylko mnie. Potem wszystko ucichło. Mgła jest wielkim oszustem i mistyfikatorem, zniekształcającym realność i dziwacznie przemieszczającym dźwięki. Dlatego lepiej nie ulegać tej prowokacji.

Dopiłam wino i z wahaniem spojrzałam na regał z książkami. Był zapełniony, czym się dało – od

starych podręczników szkolnych i powieści detektywistycznych, po dzieła naukowe i filozoficzne. Stary, solidny, pamiętający licznych właścicieli stróż podniszczonych tomów. Pamiętam, że zaczynałam czytać od górnej półki. Teraz, dla odmiany, sięgniemy po te z dołu.

Usiadłam po turecku na podłodze i otworzyłam dolne skrzydła mebla. Od zleżałych papierów rozszedł się zapach butwienia i zbyteczności. Przebierając poząłkłe teczki z rysunkami, broszury i albumy, zapragnęłam natychmiast wszystko rzucić i wleźć pod ciepły pled. Ale uparcie grzebałam dalej, jakbym czegoś szukała. Stara koperta wysliznęła się z jakiegoś czasopisma i upadła na podłogę. Zwykła koperta, naddarta niecierpliwą ręką. W poprzek adresu i znaczków na ukos napisane było czarnym flamastrem „Suka!”.

Wewnątrz tkwił list – kartka papieru w kratkę, na której niejaki Michał nabazgrał długopisem, że przyjedzie za tydzień. Na końcu znalazły się całusy i różne czułości. Nadawcy nie było, więc odwróciłam kopertę. List był adresowany tu, do Anny Brusilowej, data na stemplu – sprzed sześciu lat. Poczulałam się niezręcznie, jakbym z ciekawości zajrzała przez dziurkę od klucza i zobaczyła nieznaną sobie ludzi zajmujących się seksem.

Innych śladów bytności Anny nie znalazłam. Dziwne, jak ocalał list, skoro w domu nie raz zmieniali się właściciele, i kto zostawił na kopercie ten dyszący nienawiścią napis? Emma mówiła, że mebli nie wymieniali – zbyt dużo kłopotów sprawiałoby przeciąganie szafy i łóżka po chwiejącym się mostku. A zresztą, po co? O, kiedy już przebudują dom, wtedy trzeba będzie zająć się umeblowaniem, a tymczasem... I tak jest przytulnie.

Podszedł pies, bodnął szerokim łbem w ramię, jakby mówiąc: „Pora spać!”. Rozciągnął się obok, kładąc mi mordę na kolanach.

Rzeczywiście, pora spać, gdzieś wysoko, na zboczu, już zaczęły nawoływać się pierwsze ptaki.

Rano sama odnalazłam Różę, kopiającą w swoim ogrodzie odprowadzające wodę rowki.

- Rozwarły się czeluście niebieskie – poskarżyła się, wbijając szpadel w ziemię. – Boję się, że truskawki całkiem zmyje. A jeśli nie zmyje, to korzenie zgniją. A ślimaków zatrząsienie. Ich rok...

- Różo, opowiedz mi o Annie – poprosiłam. – Jakie miała życie?

- No jakie? Takie, jak wszyscy. Chłop od niej odszedł, zaciągnął się do marynarki. Dzieciaczków nie było, więc żyła sama. Wesoło żyła, jak ptaszek, o jutrzejszym dniu nie myślała.

- A Michał to kto?

- Michał? – Ściągnęła wargi, poprawiła spinkę we włosach i wrzuciła ramionami. – Przyjeżdżał tu do niej taki jeden. Mówiła, że lokator. Tylko że pokój miała jeden, sama wiesz. A na werandzie to on nie spał. Tak że wiemy, co to za lokator. Po jej śmierci jeszcze raz się zjawił, przyjechał na pogrzeb. Na twarzy się zmienił, kiedy trumnę na podwórku zobaczył. Ale Anki nie zabił, milicja sprawdzała. W tym czasie jeszcze w swoim Murmańsku się znajdował. Taka to smutna historia – zakończyła z patosem.

Postałam chwilę, przyjęłam w podarunku trzy wilgotne, rumiane brzoskwinie i wróciłam do siebie. To znaczy że list otrzymała Anna krótko przed śmiercią. Po co chciałam się tego dowiedzieć, nie wiedziałam sama. Cały czas miałam przed oczyma czarne słowo „Suka!”

Znowu polazłam do szafy i wyjęłam kopertę. Teraz, w świetle dnia, napis wydał mi się bladejszy, jakby rozmyty. Przeciągnęłam po nim palcem, na opuszkach został brudny ślad. Paskudztwo jakieś!

Chwyciwszy z półki pierwszą lepszą książkę, wyskoczyłam do ogrodu. Nieufnie obejrzałam stary, szary od przeżytych deszczy hamak, i ostrożnie usiadłam. Wytrzymał.

Potem deszcz zapędził nas z Derekiem do domu. Za oknem płakały krzaki.

Pod wieczór spostrzegłam, że braknie chleba, i biorąc ze sobą psa, udałam się do sklepu. Purpurowe, niepokojące słońce tonęło w morzu, próbując w ostatniej chwili oddać wybrzeżu chociaż trochę ciepła. W powrotnej drodze wstąpiliśmy do Mopsy.

- No, co tam u ciebie? - niespodziewanie zainteresowała się zazwyczaj oszczędna w słowach starucha. - Nie chcesz wrócić?

Pokręciłam głową. Nie, potrzebny mi właśnie ten dom, wieczorna mgła, szemranie strumienia i głosy... Złudne, wymykające się życie, wilgotne powietrze i smak dojrzałych, pękających od najmniejszego dotknięcia śliwek.

Ale zwykły tryb życia dzisiaj został zakłócony. Zmarszczyłam się, widząc, że koło mostku czeka na mnie Andrzej. W jasnych spodniach i kurtce z czarnego materiału byłby podobny do zwykłego playboya, gdyby nie zasępione, zmęczone spojrzenie. Przywitaliśmy się.

- Wybacz, przyjechałem nie na długo, powinienem tylko coś zabrać, książki i stare szkice. Nie będę cię krępować, jeszcze dzisiaj wyjadę.

Obejrzałam się. Samochodu w pobliżu nie było, a ostatni autobus z osiedla odszedł ze dwie godziny temu. Andrzej zrozumiał moje spojrzenie i wzruszył ramionami:

- Wieczorem powinien być kuter. Nocą będę na dworcu, rano pociąg. Próbowałem połączyć się z tobą, ale telefon masz wyłączony.

Zrobiło mi się wstyd, że nie mogłem się dodzwonić, by poprosić o wysłanie potrzebnych papierów. Zapomniałam doładować baterię.

- Po co masz wracać nocą? Przenocujesz, a rano odjedziesz autobusem - zaproponowałam, pokonując własne opory. To nic, jedną noc jakoś przeżyję, sama sobie jestem winna.

- Nie chcę przeszkadzać - rzucił krótko i pomaszerował po mostku do furtki.

- Nie przeszkodzisz.

- No dobrze, zgoda. - Zatrzymał się przy ganku. - Prześpię się na werandzie, trzeba będzie odszukać zapasową koldrę. O cholera!

Wyprzedzający nas Derek zatarasował drzwi. Nigdy tak się nie zachowywał - sierść na dolnej części grzywy stanęła dęba, a nos marszczył się, niedwuznacznie obnażając kły. Okazuje, że mój pies umie bronić mojego domu. Trzeba było znów przypinać smycz i przywiązywać psa do najbliższego drzewa.

- Leżeć!

Włączyłam czajnik i siedziałam w kuchni, póki Andrzej w pokoju grzebał w szafie i szeleścił papierami.

Wszedł jeszcze bardziej zasępiony, nie zdejmując kurtki, usiadł przy stole. Piliśmy herbatę, starannie unikając swych spojrzeń.

- Jak tam twoja praca? - zapytałam tylko po to, by przełamać uciążliwe milczenie.

- Nieźle. Jeśli zdążę na czas, to kupimy samochód. I na remont domu zostanie.

Tymi słowami przypomniał mi, kto jest tu prawdziwym gospodarzem. Zmieszałam się jeszcze bardziej.

- Wybacz, Żeniu - zdaje się, po raz pierwszy nazwał mnie po imieniu - tam, u ciebie, troszkę pogospodarowaliśmy. Rzeczy powkładaliśmy do szaf. No, sama rozumiesz.

Rozumiałam. Mojej ucieczce nie towarzyszyło choćby najmniejsze sprzątnięcie i w mieszkaniu wszystko było w pełnym nieładzie - moja i Pawła odzież, wszelkie niepotrzebne drobiazgi, nawet przyniesione przez Antona kwiaty umierały w wazonie.

- Mówiłaś, że mieszkasz sama - kontynuował Andrzej z niepasującą do niego ciekawością.

- Mieszkałam z mężem - burknęłam, czując powracający ból, który tak starannie nauczałam się trzymać na odległość. - Nie ma go już.

- Przytrafiło mu się jakieś nieszczęście? Wybacz, chyba nie chcesz o tym mówić.

- Nie, dlaczego... Mam nadzieję, że z nim wszystko w porządku. Po prostu znalazł sobie inną i zostawił mnie.

Tępy pazurek ostrożnie drapnął gdzieś wewnątrz mnie, jakby sprawdzając twardość duszy, serca albo co tam we mnie zostało. Coś widocznie jeszcze tam żyło, ponieważ skurczyło się i zamarło.

- Zgoda, nie wracajmy do tego - ze zrozumieniem zgodził się Andrzej, ale w jego słowach pobrzmiwała lekka, prawie niedostrzegalna nutka pogardy. - Już zupełnie ciemno, i do tego jeszcze ta mgła. Pora spać, muszę jutro wstąpić na autobus.

- Znalazłeś wszystko, co trzeba? - zapytałam.

- Tak, wszystko, co trzeba, znalazłem. - Uważnie mi się przyglądał.

- Wobec tego racja, chodźmy spać. Poczekaj, odwiążę psa i zamknę w pokoju.

Derek siedział, naciągnąwszy smycz, i z napięciem wpatrywał się w dom, a kiedy położyłam rękę na jego głowie, poczułam, że cały drży z napięcia. Zdziczał, odzwyczaił się od obcych.

Odprowadziłam psa do pokoju i na wszelki wypadek owinęłam smycz dokoła nogi łóżka. Rano Andrzej na pewno wejdzie do kuchni, żeby wypić kawę, a drzwi pokoju otwierają się od jednego dotknięcia, tak że Derek może go wystraszyć.

Potem wyjęłam z szafy kołdrę i bieliznę pościelową, chwyciłam po drodze wielką kanapową poduszkę i zaniósłam wszystko na werandę.

- Zostaw, pościelę sam. - Wskazał tapczanik. Potem nachylił się i wyciągnął zza niego siekiere. - Dziwne miejsce znalazłaś dla niej. - Wzruszył ramionami. - Po co?

- Żeby uniknąć pokusy - spróbowałam zażartować.

- Pokusy? - Przerzucił toporzysko do drugiej ręki i obejrzał się, jakby wybierając miejsce, gdzie położyć narzędzie. - A ja myślałam... Zgoda, nieważnie. Samotne, piękne dziewczyny nie mogą żyć

bez pokus. Czy się mylę?

Pokręciłam głową. Mylisz się. Nawet bardzo mogą.

- Jeszcze nie znalazłaś sobie kawalera? - ciągnął z niezwykłą dla siebie poufałością. - Morze, słońce, opaleni mężczyźni, czyż nie po to przyjechałaś?

Znów pokręciłam głową, nie odrywając wzroku od jego rąk, silnych i równocześnie wytwornych rąk malarza. Potem, jak we śnie, cofnęłam się.

Malarz, węgiel, czarny, brudzący palce napis „Suka!” na starej kopercie.

- Stój! - rozkazał niegłośno i władczo. - Nie ruszaj się!

- To ty je zabiłeś - wyszeptałam, nie słysząc własnego głosu. Ale on zrozumiał. I uśmiechnął się.

- Bystra suka - powiedział powoli. - Ale zdechniesz nie tylko dlatego.

- Dlaczego? Dlaczego je zabiłeś? Annę i Halinę?

- Były jeszcze inne, ale to nieważne. Nienawidzę brudu! Mężowie nie porzucają wiernych żon, a to znaczy, że trzeba je niszczyć! - W jego oczach ciemną wodą objawił się obłęd.

- Jesteś przekonany, że mężowie porzucają żony tylko dlatego? - Moje pytanie było bezużyteczne i odbiło się jak groch od ściany. - Naprawdę jesteś o tym przekonany?!

Prawie krzyczałam. On drgnął i zaśmiał się. Jakby miedziane monety wysypywały się i toczyły po drewnianej podłodze.

- Kochałem ją, wierzyłem... A ona... Z jakimś łotrem! Zobaczyłem ich. Ona nie powinna żyć - taka. Potem ją znalazłem...

Przestraszyłam się. Chociaż wydawałoby się, że bardziej już nie można się przestraszyć.

- Emma?!

- Emma jest świętą! Nie brukaj jej imienia swoją brudną paszczą! Ta nazywała się... Zresztą, nieważne! Ona niegodna tego imienia. Nikt jej już nie pamięta, jak i ciebie nie będą!

Płynnie i ostrożnie ruszył w moją stronę, jakby unosił się w powietrzu. Hipnotyzujące, przymilne ruchy. Za plecami poczułam drzwi, skrzypiące, rozsyhające się drzwi werandy.

W domu zaczął wyc i szarpać się zamknięty pies.

Wybiegłam do ogrodu, w duszącą mgłę, wiedząc już, co będzie dalej. Wreszcie dowiem się, co mówiła kobieta i co odpowiadał jej mężczyzna. Ponieważ to nie była Anna. Słyszałam tyle razy własny głos, nie rozpoznając go.

- Bez sensu. - Andrzej dogonił mnie w ciemności i chwycił za ramię. - Jesteś taka sama dziwka jak one. Potwór!

Rzeczywiście, bez sensu było coś wyjaśniać, ale próbowałam. Nie usprawiedliwiałam się, nie. Odwrotnie, przeklinałam ten dzień, w którym spotkałam Pawła, kiedy uznałam, że warto zaufać jemu i jego słowom. Oskarżałam swoją miłość, dławiłam się mgłą, próbując uniknąć pokrytego plamami

rdzy ostrza siekiery i wyrwać się z trzymających mnie rąk. Andrzej doniósł mnie do ogrodzenia i rzucił brzuchem na kamienie. W dole pogodnie szumiała woda.

Spróbowałam podeprzeć się i wstać, ale on znów mnie chwycił, tym razem za włosy, i przerzucił wpół za mur. Zostało niewiele... Trochę słów.

- Nie dotykaj jej - rozległo się z tyłu.

Znajomy do ostatniego szmeru fonogram z jakiegoś powodu zmienił się. Wplątał się w niego znajomy głos, łamiąc finałowe dźwięki - szmer kamieni, dźwięk upadku.

Czułam, że Andrzej drgnął i obejrzał się, próbując coś zobaczyć. Potem jego palce zacisnęły się mocniej i krzyknęłam z bólu, ale jakimś cudem zdążyłam odwrócić głowę i zobaczyłam, jak zawirowały kosmyki mgły. W następnej sekundzie siekiera poleciała w dół, dzwoniąc o kamienie, a na mnie, przyciskając i raniąc o mur, zważyło się ciało Andrzeja. Ale zerwał się natychmiast, wypuściwszy wreszcie moje włosy.

Mogłam tylko, zwinąwszy się pod ogrodzeniem jak język, i zlizując krew z rozbitych warg, patrzeć, jak oni na chwilę się zwarli, a potem znów się rozdzielili i jeden, plecami do przodu, odleciał w kierunku strumienia. Na moment jego upadek zatrzymało ogrodzenie. Potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła i potworny, zwierzęcy ryk. Postać zachwiała się i powoli upadła na wznak.

I natychmiast nastąpiła cisza.

Stali obok siebie - człowiek i pies z zakrwawioną mordą oraz dyndającym na obroży ogryzkiem smyczy. Stali spokojnie i nieruchomo w unoszącej się mgle. Potem Paweł położył rękę na głowie Dereka.

- Chron go, Żeniu - powiedział. - I uważaj na siebie.

- Wrócisz? - zapytałam bez żadnej nadziei.

W odpowiedzi, tylko pokręcił głową i ruszył w mleczone kosmyki. Potem zatrzymał się na chwilę, odwrócił się i z uśmiechem poprosił:

- Naładuj wreszcie telefon, zgoda?

I została tylko mgła.

Noc w żaden sposób nie chciała stać się rankiem, rozciągając się jak niekończąca się gumowa opaska. Po ogrodzie i domu błakali się jacyś ludzie, w milczeniu gapiąc się na mnie. Miałam wrażenie, że znajduję się wewnątrz akwarium i dokoła powoli pływają niewyraźne zarysy ryb. Czasami któryś z nich zbliżał się i domyślałam się, że trzeba coś wyjaśnić, ale tylko kręciłam głową.

Nie wiem, kto ich wezwał - prawdopodobnie wszechobecna Róża.

Potem zmuszono mnie, bym wsiadła do samochodu, i zawieziono dokąds, by nałożyć gips na złamaną rękę i szwy na rozdarty o kamienie policzek. Przy okazji zaszyli rany na mordzie Dereka. Starszy lekarz spirytusem obmywał ze mnie krew i gładził po głowie, bym nie płakała. Ale ja i tak nie mogłam zapłakać. Nie było łez, żadnych, zupełnie.

Pragnęłam tylko jednego - jak najszybciej wrócić do domu. Niepotrzebnie, ponieważ podjechaliśmy akurat wtedy, kiedy mężczyźni w kombinezonach wyciągali ze strumienia ciało Andrzeja. Świtało.

Mgła powoli rzedła.

Po raz ostatni przeszłam się po ogrodzie. Rozdeptane morele, śliwki i ślimaki...

Trzeba było jeszcze coś zrobić. Ach tak, znaleźć ładowarkę i włączyć. Z trudem poradziłam sobie jedną ręką. Potem zabrałam się za porządkowanie rzeczy. W kącie Derek próbował zedrzyć z mordy bandaż.

Młodziutki lejtnant siedział przy stole i obserwował mnie niemrugającym, kocim spojrzeniem, starannie zapisując wszystko, co próbowałam mu opowiedzieć. Potem razem szukaliśmy koperty i znaleźliśmy ją w torbie Andrzeja, która została na werandzie.

Potem on szybko wyszedł.

Rano, kiedy już rozeszli się najbardziej natrętni gapie, zadzwoniła mama. Starając się mówić spokojnie, zakomunikowała, że trzy dni temu ciało Pawła znaleźli w tej samej karelskiej rzece. Anton już się przyznał do morderstwa.

Może jednak wrócić do domu?

Tłumaczenie: [Tadeusz Rubnikowicz](#)

Od tłumacza: „dziewiątka” to popularne w Rosji określenie Łady Samary.

[Inne opowiadanie Darii Bułatnikowej w Fahrenheicie](#)